

Niech żyje wyzysk!

Ucicha dyskusja o tym, co działo się w sieci dyskontów spożywczych, (co za obrzydliwe określenie) oznaczonych charakterystycznym znakiem sympatycznej biedronki. Mogę teraz, na spokojnie, napisać kilka zdań na ten temat, bo media chwilowo mniej się nim zajmują i niezdrowe emocje (histeria?) już opadły. A działy się tam, pono, rzeczy straszne. Bezlitośnie wykorzystywano pracowników, zmuszając ich do pracy „ponad siły”. Wyzyskiwano bezwzględnie nawet kobiety ciężarne, honorowych krwiodawców i inwalidów wojennych z dzieckiem na ręku. Jeżeli przesadziłem to niewiele. Na czym, właściwie ów „wyzysk” polegał? Ano na tym, że ludziom kazano pracować w sposób, nie do końca, pochwalny przez „Kodeks Pracy”. Zapewne to prawda, choć bez wątpienia, znaczna część relacji „poszkodowanych” była przesadzona. Nie darzę specjalną sympatią jakichkolwiek marketów, odwiedzam je rzadko i z odrazą, ale tym razem muszę stanąć w ich obronie. Oczywiście, nieprawidłowości, które miały miejsce w sieci sklepów „Biedronka” nie są odosobnione. Tak dzieje się we wszystkich tego typu przedsiębiorstwach, natomiast „Biedronka” jest największą siecią w Polsce, zatrudnia najwięcej pracowników i dlatego prawdopodobieństwo wypłynięcia takiej sprawy właśnie stamtąd było najbardziej prawdopodobne. I tak się stało. Wypłynęła sprawa, której... nie ma! Przypominam, że w Polsce ludzie mają prawo do pracy natomiast nie ma przymusu pracy. Nawet w „Biedronce”. Jeżeli pracodawca nie odpowiada pracownikowi ten może, w każdej chwili, odejść i nikt nie ma możliwości zatrzymać go siłą. Chcę zaznaczyć, że o ile mi wiadomo, nikt (albo prawie nikt) z własnej woli, nie opuścił szeregów pracowników „Biedronki”. Mało tego! Chętnych do podjęcia pracy w „Biedronce” i zasilenia rzeszy „wyzyskiwanych” nie brakuje. I w najbliższym czasie nie zabraknie. I dobrze, bo dzięki „wyzyskowi” ten świat się jeszcze jakoś kręci. Lubię wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Każdy z nas należy do jednych i.... drugich – w zależności od okoliczności. To dzięki przedsiębiorcom, którzy zysk (i wyzysk) mają wypisany na pysku mamy pracę, codziennie mamy, co jeść, bo „wyzyskujemy” ciężką pracę rolników, rzeźników i handlowców. Mamy, za co kupić jedzenie, albo buty dla dzieci, bo „wyzyskujemy” naszego pracodawcę, który musi nam płacić, a on „wyzyskuje” naszą pracę. Pracę, której w Polsce jest tak niewiele i jest marnie opłacana m.in., dlatego, że istnieją urzędy i prawo, które ma nas „chronić przed wyzyskiem”. Rzecz jasna, jak coś robią urzędnicy to skutek jest zawsze odwrotny od zamierzonego. Na przykład:, jaka frajda dorwać i przykłádnie ukarać drobnego pracodawcę, który zatrudnia kogoś „na czarno”. Oczywiście ukarać „dla dobra” zatrudnianego. Tylko, że wówczas ten zatrudniony wtedy pracę utraci, a jego rodzina jedyne go żywiciela. Ale najważniejsze, że zadowolone są urzędasy – uratowali człowieka przed „wyzyskiem” obronili jego „prawa”. A że na skutek takiej „obrony” on i jego dzieci nie mają, co jeść? A co to ich obchodzi?

A praca jest towarem takim jak każdy inny i również musi być poddany regułom Wolnego Rynku, czyli o wynagrodzeniu, czasie pracy, jej warunkach, urlopach i innych duperelach powinna decydować, tylko i wyłącznie, umowa pomiędzy pracodawcą i pracobiorcą. I nikomu nic do tego. Niestety tak nie jest, bo mamy w Polsce, już od dziesięcioleci rządy socjalistów (bezbożnych, albo pobożnych – w zależności od wyników ostatnich wyborów), którzy bardzo „dbają” o pracowników. I dlatego tej pracy jest tak niewiele. Coraz mniej. I lepiej chyba nie będzie, bo w tegorocznych wyborach znów wybierzmy głupców. Nie ma rady.

Zaznaczam, że ten felieton przeczytałeś Drogi Czytelniku, dzięki temu, że zostałem przez Ciebie... wyzyskany. I bardzo dobrze!

Mariusz Warak